



Konrad Piskała

## **Trzymaj się z dala, kochanie**

Opowieść o miłości w Afryce Wschodniej



Świat pełen jest wyrw, załamów, pęknięć – zarówno tych fizycznych, jak i niewidocznych gołym okiem szczelin rzeczywistości. Aby móc docierać do tego, co niepoznane, stworzyliśmy Szczeliny, poświęcony literaturze faktu imprint Wydawnictwa Otwartego. Pragniemy zrozumieć otaczające nas zjawiska, dlatego oddajemy głos ekspertom, którzy najlepiej potrafią wytłumaczyć zawłości współczesnego świata.

Konrad Piskała

# **Trzymaj się z dala, kochanie**

Opowieść o miłości  
w Afryce Wschodniej



**SZCZELINY**

Kraków 2024

Copyright © by Konrad Piskala

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2024

Wydawca prowadzący: Rafał Czech

Redakcja tekstu: Dariusz Fedor

Konsultacja merytoryczna:

prof. Maciej Kurcz, Uniwersytet Śląski w Katowicach

Wnętrze – projekt graficzny serii: Wydawnictwo Otwarte

Adiustacja i korekta: Studio NOTA BENE

Łamanie: Daniel Malak

Promocja i marketing: Elżbieta Husarz

Okładka – projekt graficzny serii: Łukasz Piskorek

Adaptacja okładki na potrzeby niniejszego wydania:

Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce: Eric Lafforgue / Alamy / BE&W

ISBN 978-83-8135-383-0



**SZCZELINY**

Zajrzyj do Szczelin!

[szczeliny.pl](http://szczeliny.pl)

[facebook.com/szczeliny](https://facebook.com/szczeliny)

[instagram.com/szczeliny](https://instagram.com/szczeliny)

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

# Wstęp

Obraz umierającej zebry wrócił do mnie późną nocą w dawnej włoskiej dzielnicy Piazza w Addis Abebie. Stałem w słabej łunie światła padającego z okien hotelu Hermon. Na asfaltowej ulicy leżała dziewczyna. Skojarzyła mi się z umierającą zebrawą, na którą natknąłem się piętnaście lat wcześniej, podczas pierwszej podróży do Afryki. Było spokojne i ciche popołudnie w rezerwacie Masai Mara, a jedna z tysięcy zebra właśnie kończyła życie. Natknęliśmy się na nią na piaszczystej drodze w rozległej, kremowej przestrzeni sawanny, którą spokojnie przemierzały antylopy, bawoły, rodziny słońi, pojedyncze żyrafy. Niczego już tego dnia nie szukaliśmy, żadnych roślin ani zwierząt. Zmierzaliśmy do obozowiska i może dlatego byłem wdzięczny kierowcy, że się nie śpieszył. Zatrzymał samochód w oddali, aby

zebry nie płoszyć. Nie sprawiać niepotrzebnego cierpienia. Czy nas wyczuła? Dźwignęła przód ciała, przesunęła się o metr albo dwa, ale jej zad bezsilnie spoczywał na piasku. Miała strzaskane tylne nogi. Pragnąłem, aby zjawili się wszyscy myśliwi sawanny: lwy, gepardy, hieny i rzuciły się litościwie do jej szyi. W Masai Mara było okrutnie spokojnie. Wiatr czołgał się po trawach, a słońce wciąż było wysoko. Inne zebry pasły się w oddali. Zupełnie nie zwracały uwagi na tę, która właśnie umierała.

– Skoro nie można jej pomóc, to czy ktoś, strażnik parku albo Masai, nie powinien jej dobić? – zapytałem przewodnika.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie należymy do tego świata. Nie możemy się wtrącać – rzucił, a kierowca odpalił silnik samochodu.

Pojechaliśmy dalej, ale obraz umierającej zebry został już ze mną. I teraz tu, na Piazza, pozornie bez powodu, przypomniła mi się ta scena. Było już około północy. Ruch samochodowy niemal zamarł. Z nocnych klubów przez otwarte drzwi płynęła głośna muzyka. Niedaleko hotelu Hermon był mur, gdzie w dzień stali sprzedawcy drobiazgów – zegarków z Chin, papierosów na sztuki, ubrań albo miejscowych butów uszytych ze skrawków opon. Czekali na klientów cały dzień w słońcu i spalinach, ale kiedy nadchodził zmrok, oni również odpływali. W ich miejsce pojawiały się kobiety,

**Trzymaj się z dala, kochanie**

nieruchome posągi oblewane światłem przejeżdżających samochodów. Mówiły w każdym ze stu języków Etiopii. W chustach i bez. Wyzywające i skromne. Muzułmanki i chrześcijanki. O jasnej i ciemnej skórze. Amhara, Tigrinia, Oromo, Galla, Somali. Wszystko na tej jednej krótkiej ulicy, płynny ludzki targ. Nie wiem, czy dziewczyna sprzed hotelu była z tego miejsca. Leżała niedaleko, na jezdni, między dwoma pasami ruchu. Jej postać wylawiała światła niebieskich taksówek, które zatrzymywały się przed nią zaskoczone. Była ubrana w krótką wieczorową sukienkę z cekinami. Ktoś się zaśmiał, gdy jakiś młody mężczyzna wrócił okładać ją piętami. Dzieliło mnie od niej jedynie kilka metrów.

– To miłość. Nie można się wtrącać – rzucił głośno portier stojący przed hotelem, gdy wysoki mężczyzna z Europy chciał interweniować.

Zatrzymałem się tak jak wszyscy i patrzyliśmy, jak dziewczyna się podnosi z ziemi i wolno uchodzi w ciemność. Potem długo wierząc się w łóżku w hotelu Hermon, myślałem o tych kobietach w całej Afryce, które kiedyś spotkałem, a także o mężczyznach równie opuszczonych w świecie, w którym – tak sądziłem wówczas – najważniejsza jest wola przeżycia, a nie miłość.

# Erytrea



## Senait, córka Zaid\*

Był wrzesień 2015 roku. Obudził mnie telefon. Leżałem na łóżku, a przez otwarte okno sączył się do pokoju szum morza. Ze śnieżnobiałej pościeli patrzyłem na horyzont, po którym wolno przesuwał się statek towarowy. Ogromny kontenerowiec balansował na cienkiej linii widnokręgu. Kończył się sezon w albańskim Himarë. Na drobnym piasku leżały gotowe do wywiezienia parasole. O poranku było tak cicho, tak łagodnie, że wydawało się niemożliwe, aby był gdzieś inny świat, toczyła się wojna, ginęli ludzie.

W samej końcówce lata spotkałem się z Abdulkadirem\*\* w kawiarni na Brackiej w Warszawie. Był bo-

---

\* Reportaż o Erytrei ukazał się w: „Pismo. Magazyn Opinii” 8.05.2018, pod tytułem *Zaid znaczy najdroższa. Senaid – powodzenia.*

\*\* Abdulkadir Gabeire Farah, bohater książki Konrada Piskaly *Dryland*, Warszawa 2014.

haterem mojej poprzedniej książki. Właśnie jechałem na wakacje do Albanii, on do Mogadiszu. Mieliśmy omówić film o Somalii, ale wówczas nie miał do tego głowy. Nazajutrz wylatywał. Nie jestem człowiekiem przesądnym, nie wierzę w znaki, w symbole dawane nam przez wszechświat, ale tamtego wieczoru był wyraźnie przybity. Na pytanie, czy wszystko u niego w porządku, odparł, że czasami mężczyzna powinien mieć się czym martwić. Zrozumiałem, że to jest właśnie ten moment w jego życiu. Na pożegnanie zapytał, czy nie chciałbym opisać historii Senait, jego przyjaciółki z Erytrei. To było nasze ostatnie spotkanie. Dwa tygodnie później, o świcie, przyszedł SMS, że zginął w zamachu bombowym przed Villa Somalia w Mogadiszu. Leżałem w pokoju hotelowym i patrzyłem na morze, a statek na widnokręgu ciągle płynął i płynął, jakby to była klepsydra z przesypującym się piaskiem. Wreszcie zniknął za skałami. Została cisza, puste morze i leżące na wilgotnym piasku parasole.

Po powrocie do Polski odezwałem się do Senait. Spotkaliśmy się na ulicy Brackiej. Latem do mieszkania, w którym mieści się Fundacja dla Somalii, wdzierają się dźwięki z podwórza. Najpierw docierają słowa po arabsku, angielsku, ukraińsku, a potem wspina się smużka dymu tytoniowego. Teraz była już mocna jesień, za oknem pluskał deszcz. Na korytarzu cisza, bo fundacja została sparaliżowana po śmierci Abdula. Siedzieliśmy

**Trzymaj się z dala, kochanie**

w półmroku. Senait opowiadała o Erytrei, a ja słuchając jej, zrozumiałem, że to nie jest tylko historia o reżimie, wojnie, ale opowieść straconym uczuciu. Włączyłem dyktafon, a Senait głosem zlewającym się nieco z deszczem za oknem opowiadała:

– U nas imiona mają sens. Zaid oznacza najdroższa. Kidane – to obietnica. Taka, którą za wszelką cenę trzeba dotrzymać. Jak przyrzeczenie wierności w małżeństwie. Trhas to szczęście. Temesgen – dzięki Bogu. Haftu – bogactwo, dar od Boga. Senait? *Good luck*, ale wolę znaczenie: pokój.

Nasłuchuje, czy zasnęli. Na zewnątrz brzęczą owady, przez szczeliny w dachu wdziera się światło księżyca. Z paleniska sączy się jeszcze ciepło i czuć kadzidlany zapach spalonej żywicy. W glinianej chacie jest cicho, tylko serce Zaid bije szybko i głośno. Dziewczyna patrzy na leżącego w półmroku ojca i niespokojnie wierci się na posłaniu. Kilka dni wcześniej przed wyjściem w pole powiedział, że znalazł dla niej męża.

– To starszy człowiek, mieszka w dolinie rzeki Me-reb. Bogaty rolnik. Będzie dla ciebie dobry – zachwalał, ale z każdym jego słowem Zaid była coraz bardziej przerażona.

Jest styczeń 1960 roku. Zaid ma – chyba, bo nie zna dokładnej daty swojego urodzenia – szesnaście lat. Nie chce wychodzić za mąż, ale nie ma się komu poskarżyć.

Matka zmarła, jedynym powiernikiem dziewczyny jest Haftu, jeden z jej starszych braci. Ale nawet on jej nie zrozumie. Na wsi życie od zawsze toczy się niezmiennym trybem, kobiety pracują, wychodzą za mąż, rodzą dzieci. Zaid, odkąd pamięta, codziennie o świcie chodzi po chrust; ma do przejścia dwanaście kilometrów. Potem dźwiga na zgarbionych plecach wodę w ciężkim glinianym naczyniu, wyprowadza krowy na pastwisko. Ojciec dogląda kukurydzy i teffu. Ma na utrzymaniu dziesięcioro dzieci. Gdy wyda jedną z córek za mąż, łatwiej będzie mu wyżywić resztę.

We wsi ludzie mówią, że w dolinie rzeki panuje malaria. Zaid niewiele wie o tej chorobie, ale niektóre kobiety straszą, że mąż na pewno ją zarazi. Zaid boi się śmierci, ale jeszcze bardziej boi się obcego człowieka. Postanawia uciec do ciotki, do Asmary. Była raz u niej. Pamięta wszystkie te cuda zbudowane jeszcze przez Włochów: rozświetlone neonami sklepy, szerokie aleje obsadzone palmami, operę, kina, bulwary z dziesiątkami kawiarni. I mieszkanie ciotki, z bieżącą wodą, i pocztówki od kuzynów, którzy wyjechali do Rzymu na studia. Od tamtej pory śni o mieście. Wyobraża sobie, że też kiedyś będzie tak mieszkała.

Ześlizguje się z posłania, zarzuca na głowę białą chustę, aby ochronić policzki przed szczypiącym zimnem, i wybiega w ciemność. Przez chwilę wydaje jej się jeszcze, że dźwięk otwieranych drzwi obudził któregoś

**Trzymaj się z dala, kochanie**

z domowników. Może jedną z młodszych sióstr? Nie zatrzymuje się jednak. Nie należy już do nich.

Ze swojej ucieczki zapamięta każdy krok na piaszczystej drodze. Idzie szybko, czasem ze strachu kawalek podbiega. Z jej wsi Guhchia-Adeschaba jest pół dnia drogi do Mendefery. Co jakiś czas poprawia chustę zakrywającą wytatuowany na czole krzyż, który ma przynosić szczęście. W pamięci utkwia jej złowrogie cienie i chichot nawołujących się hien.

Boi się też ludzi. Samotna dziewczyna jest łatwym celem. W wiosce ochronę zapewniali jej bracia, którzy rozszarpaliby każdego, kto by ją tknął, ale teraz jest zdana na siebie. Obawia się nie tylko włóczęgów, ale również cieszących się złą sławą etiopskich żołnierzy.

Gdy europejskie mocarstwa dzieliły się strefami wpływów w Afryce, Wielka Brytania odstąpiła położony nad Morzem Czerwonym port Massawa Włochom, które w zamian miały być sojusznikami Anglików w kolonialnej rywalizacji. Włosi stopniowo powiększali swoje terytorium i w 1890 roku ogłosili powstanie kolonii Erytrea. Granicę z Etiopią wytyczyli na rzece Mereb.

W Erytrei i Etiopii żyje wiele grup etnicznych różniących się religią, językiem, tradycją i obyczajami. Jedni są muzułmanami, inni chrześcijanami, jedni rolnikami, inni nomadami. Najliczniejsi są chrześcijańscy Tigrajczycy. Włosi rozdzielili mieszkańców tych ziem nie

tylko sztucznie wytyczoną granicą. Podsycali niechęć między Tigrajczykami a rządzącymi w Etiopii Amharami i starali się poróżnić między sobą samych Tigrajczyków. W myśl faszystowskiej propagandy ci z Erytrei mieli być bardziej inteligentni, kreatywni i moralni od żyjących po drugiej stronie rzeki współbraci.

Podobnie jak w Somalii, Włosi utworzyli w Erytrei wojsko kolonialne, w którym służyli Erytrejczycy. Żołnierze całkiem nieźle zarabiali. Praca w zakładanych przez Włochów fabrykach czy przy budowie wytyczanych przez nich dróg i linii kolejowych także pozwalała żyć w miarę dostatnio.

Na przełomie XIX i XX wieku Włosi rozbudowali Asmarę i przenieśli do niej stolicę kolonii. Na spłowiałych zdjęciach z tamtych czasów włoscy inżynierowie w korkowych hełmach wytyczają Viale Mussolini, a półnaczy miejscowi robotnicy wyrównują grunt kilofami. Szeroka, obsadzona palmami główna aleja stolicy będzie się świetnie nadawała do wojskowych defilad.

Europejczycy projektowali i zarządzali, ale cegły i zaprawę dźwigali Erytrejczycy. Dzięki temu poczuli się częścią tego projektu. To miasto, do dziś nazywane Małym Rzymem, i jego monumentalne kamienice, opery oraz kina były przecież dziełem ich rąk. Zaczęli przejmować elementy europejskiej kultury, chodzić w eleganckich marynarkach, jeść pizzę, grać w kręgle i bilard, przyswajając sobie włoskie słowa.

**Trzymaj się z dala, kochanie**

Po drugiej stronie rzeki bliska kulturowo, ale feudalna Etiopia została ze swoimi kłopotami – biedą, głodem i niesprawiedliwością.

Druga wojna światowa zmieniła układ sił w regionie. Włosi odeszli, nastaly rządy brytyjskie, nazwa głównej alei w Asmarze zmieniła się na Queen Victoria Avenue. Wiadomo jednak było, że Europejczycy nie zostaną w Erytrei na zawsze. Erytrejczycy zaczęli się organizować. Stworzyli partie polityczne, ale do ich ziemi rościły sobie prawa nie tylko Wielka Brytania i Włochy, ale również Etiopia i Egipt. W ONZ powstała komisja, która miała zadecydować o losach kłopotliwej kolonii. Propozycje były trzy – uznać niepodległość Erytrei, przyłączyć ją do Etiopii (za czym optowała część nowo powstałych erytrejskich partii) lub utworzyć federację etiopsko-erytrejską. Ostatecznie w grudniu 1950 roku ONZ przyjęła rezolucję, zgodnie z którą Erytrea miała zostać włączona do Etiopii jako niezależna prowincja z własnym rządem i parlamentem.

Cesarz Etiopii Hajle Sellasje od początku traktował jednak dawną włoską kolonię jako część swojego państwa. Wkrótce językiem urzędowym Erytrei stał się amharski, a błękitną flagę z gałązkami oliwnymi zastąpiła flaga cesarska z Lwem Judy. Stacjonujący w Erytrei etiopscy żołnierze, często pochodzący z odległych zakątków

kraju, mówiący innym językiem i mający inne obyczaje niż Erytrejczycy, zachowywali się w zasadzie jak okupanci. Pacyfikowali wioski w poszukiwaniu partyzantów i terroryzowali ludzi. W 1962 roku zastraszone erytrejski parlament przegłosował likwidację federacji i kraj został wchłonięty przez Etiopię, a główna aleja stolicy została nazwana imieniem etiopskiego cesarza.

Jeszcze tego samego dnia Zaid dociera przed zmierzchem do Asmary. Ciotka dziwi się, widząc ją w drzwiach, ale w głębi duszy jest szczęśliwa. Od śmierci siostry traktuje dziewczynę jak własną córkę. Nie uważa ślubu za dobry pomysł. Po kilku dniach wysyła do ojca siostrzenicy lakoniczny telegram: „Zaid jest w Asmarze. Zostaje u mnie na jakiś czas”. Ojciec rezygnuje z wydania dziewczyny za mąż, choć wkrótce okaże się, że nie na długo.

Zaid pomaga ciotce w prowadzeniu domu. Rano wychodzi kupić bułeczki i trochę warzyw. Przygotowuje śniadanie, otwiera drewniane okiennice i wpuszcza słońce do mieszkania. W południe sprząta, potem gotuje obiad. Lubi to miasto, lubi jego rytm. Późnym popołudniem, gdy upał słabnie i po sjeście na nowo otwierają się sklepy, ma czas dla siebie.

Obserwuje życie w stolicy. Kobiety ubierają się tutaj inaczej niż u niej na wsi. Asmarki noszą krótkie suknie, czasem tuż nad kolano. Nie zasłaniają włosów,

**Trzymaj się z dala, kochanie**



upinają je do góry i nieprzystojnie odkrywają ramiona. Ona ma tylko jedną bluzkę i jedną kolorową spódnicę do kostek. Wciąż zaplata cienkie tradycyjne warkocze i chowa je pod chustą.

Tak upływają dwa lata. Ojciec coraz natarczywiej domaga się, by Zaid wróciła do domu. Wydał już za mąż jej siostry, została tylko ona. Znajduje jej nowego kandydata. Tym razem to erytrejski wojskowy z Mendefery. Mówią o nim Commando, Komandos, bo służył w oddziałach specjalnych. Jest lepszą partią niż rolnik, ale Mendefera – cóż to za miasto w porównaniu z Asmarą? Kilka budynków na krzyż, parę sklepów, bazar. Po pobycie u ciotki Zaid wie, że może pragnąć od życia więcej. Chciałaby zobaczyć Rzym, o którym opowiadali jej kuzyni.

Może gdyby Commando był dla niej dobry i czuły, toby go pokochała, ale jest porywczy i brutalny. Po kilku miesiącach Zaid od niego ucieka. Wsiada do autobusu jadącego w kierunku Sudanu. Chce się przedostać na północ Afryki i dalej, do Europy. Dociera do przygranicznego Teseneju, ale brakuje jej odwagi, aby przekroczyć granicę. Musiałaby to zrobić nielegalnie. Nie ma żadnych dokumentów. Nawet szkolnej legitymacji, bo nigdy do szkoły nie chodziła. Postanawia czekać na odpowiedni moment. Zatrudnia się jako służąca u jednej z miejscowych rodzin. Dostaje nocleg, wyżywienie i skromną pensję. „Jeśli Bóg zechce, wkrótce

ruszę dalej” – mówi sobie co wieczór, wznosząc oczy ku niebu.

Wtedy pojawia się w jej życiu młody żołnierz o delikatnym uśmiechu. Nazywa się Kidane, przyrzeczenie w języku tigrinia. Jest Tigrajczykiem jak ona, ale pochodzi z Etiopii i należy do armii cesarza Hajle Sella-szego. O takich jak Kidane w Erytrei mówi się *agamie*. To historyczna nazwa jednej z etiopskich prowincji, ale w ustach erytrejskich Tigrajczyków *agamie* znaczy tyle, co biedak. „Potrzebujesz kogoś do brudnej roboty – znajdź sobie *agamie*” – mawiają.

Zaid boi się mężczyzn, ale Kidane o nią dba. Czasem przynosi jej jakiś drobny prezent – kilka pomarańczy w torbie albo woreczek pachnących owoców gujawy. Jest obok, gdy czegoś jej potrzeba. Czeka na okazję, ale tego Zaid nie wie. I okazja wkrótce się trafia. Dziewczyna choruje. Nie jest to poważna choroba, wymaga jednak leczenia. Kidane płaci za lekarza i leki, ale chce, aby w zamian Zaid została jego żoną. Ona próbuje się wykręcić, mówi, że się zastanowi, ale Kidane nie daje się zbyć. Łapie ją za rękę i przyciąga do siebie. Przystawia jej nóż do gardła. Zaid czuje ostrze na skórze.

– Jeśli mnie odrzucisz, zabiję cię. Nie dziś, to jutro – szepce jej do ucha.

Zaid nieruchomieje ze strachu. Potem nieraz będzie pytała, czy naprawdę by to zrobił. On nie odpowiada, uśmiecha się tylko.

**Trzymaj się z dala, kochanie**

Zaid opowiada o tym czasem znajomym. Bierze wtedy krótki kuchenny nóż i dźga nim powietrze.

- Zmusił mnie do małżeństwa - mówi. - Gdybym się nie zgodziła, toby mnie zabił. Kidane mieszka z siostrą; matkowała mu, kiedy był kawalerem. Zaid nie mówi mu o swoim pierwszym małżeństwie. Nie czuje się w obowiązku, szczególnie że ślub z Kidane nie miał formalnego charakteru. Marzenia o Europie odkłada na później. Kiedy przenoszą go do jednostki w Akordat, miasta położonego bliżej Asmary, Kidane zabiera ją tak, jak zabiera się dobytek.

W 1965 roku Zaid rodzi córkę. Dają jej na imię Trhas, szczęście. Wkrótce potem przenoszą się do Dekemhare, ledwie godzinę drogi od Asmary. Po raz pierwszy odkąd uciekła od pierwszego męża, Zaid postanawia skontaktować się z rodziną. Odwiedza ciotkę, ale ta nie chce z nią rozmawiać. Nie potrafi zaakceptować tego, że siostrzenica związała się z żołnierzem okupanta. Zaid pisze do ojca, ale on z kolei nie umie wybaczyć jej nieposłuszeństwa. Przyjeżdża do niej jednak Haftu, jej ukochany brat. Kidane jest szczęśliwy, że wreszcie może zamknąć usta siostrze, która nieustannie dociekała, skąd Zaid pochodzi.

Haftu spędza z nimi kilka dni. W wolnych chwilach zwiedza Dekemhare. To ładne miasto na niewielkim płaskowyżu, zgrabne, choć pozbawione rozmachu Asmary. Sporo tu kameralnych włoskich willi

i niewielkich fabryk. Któregoś wieczoru podczas przechadzki po mieście Haftu spotyka Commanda, który oficjalnie wciąż jest mężem Zaid. Beztriosko wypija z nim kilka butelek piwa w barze przy alei Hajle Selasjego. Jest przekonany, że sprawa jest od dawna nieaktualna i szwagier nie żywi do nikogo urazy. Przeprowadza go do domu siostry.

Commando wchodzi do środka i rozsiada się w fotelu.

– To teraz jesteś z etiopskim żołnierzem? – pyta. –  
Wolałaś jego niż mnie?

Zaid nie odpowiada.

– Wynoś się z mojego domu – mówi, wskazując drzwi, ale Commando ani drgnie.

Zaid zaczyna krzyczeć. Zbiegają się sąsiedzi i wspólnymi siłami wyrzucają pijanego komandosa na zewnątrz. Tam znajduje go wracający właśnie do domu Kidane. Zaid nie słyszy, o czym rozmawiają, ale Commando najwyraźniej mówi jej mężowi coś złego, bo Kidane wpada do domu wściekły i wyrzuca Haftu. Zaid na kilka dni ucieka.

– Nie rozumiesz! – powtarza szwagierka jej mężowi. – Cokolwiek zrobisz, nigdy nie będziesz Erytrejczykiem. Zawsze będziemy dla nich *agamie*.

Kidane długo jest przekonany, że incydent z komandosem nie był przypadkowy, że zaaranżowano go specjalnie, aby go upokorzyć. Siostra dzień i noc sący mu do uszu złe słowa. Któregoś dnia Kidane oznajmia, że

**Trzymaj się z dala, kochanie**

wyjeżdża do Asmary. Zabiera ze sobą Trhas. Zaid zostawia jak niepotrzebną rzecz.

Dekemhare z każdym rokiem staje się mniej spokojne. Nocami pojawiają się erytrejscy partyzanci. Okolica jest pełna niewielkich wzniesień, małych wąwozów i parowów, w których łatwo się ukryć. Kiedy zapada ciemność, partyzanci bez trudu zakradają się do miasta i odwiedzają bliskich lub przychodzą po żywność.

Erytrejska partyzantka istniała od wczesnych lat sześćdziesiątych XX wieku, kiedy powstała partia Front Wyzwolenia Erytrei i jej zbrojne ramię – Armia Wyzwolenia Erytrei. Początkowo FWE skupiał ugrupowania różniące się przynależnością etniczną i wyznaniową oraz poglądami politycznymi. Walczyły one ze wspólnym wrogiem w różnych regionach kraju, nie wchodząc sobie w drogę, niekiedy współpracowały ściślej, ostatecznie zaczęły jednak ścierać się ze sobą. Zwycięzczynią tej rywalizacji został Ludowy Front Wyzwolenia Erytrei – frakcja Isajasa Afewerkiego, obecnego prezydenta Erytrei (od 1993 roku), który w latach sześćdziesiątych był na szkoleniu wojskowym w Chinach. Przywiózł stamtąd nie tylko umiejętność walki, ale także totalitarne wzorce sprawowania władzy.

W 1974 roku w Etiopii obalono Hajle Sellasjego. Władzę w kraju przejął Derg – komunistyczna wojskowa rada zarządzająca pod przywództwem Mengystu Hajle

Marjama. Nazwa głównej ulicy Asmary została zmieniona na Godena Beherawi – Aleja Narodowa. Po obu stronach rzeki Mereb zapanował terror. W zorganizowanych przez Mengystu czystkach życie straciło około pół miliona ludzi.

W 1975 roku w Etiopii powstał Tigrajski Ludowy Front Wyzwolenia. Na jego czele stanął Meles Zenawi – późniejszy prezydent i premier kraju, który pochodził z tego samego regionu co Isajas Afewerki.

Zaid znów jest sama. Aby się utrzymać, robi i sprzedaje suwa, mętne żółte piwo, słodkawe i ciężkie. Mężczyźni lubią piwo Zaid, bo ma więcej alkoholu niż inne. Nie jest to jednak bezpieczna praca. Dziewczyna wynajmuje dwa pokoje u Erytrejczyka, który dostał w spadku po kolonizatorach dom we włoskiej dzielnicy z katolickim kościołem i małym kinem przy rynku. Mężczyzna nie ma dzieci i traktuje Zaid trochę jak córkę. Często ratuje ją z opresji, kiedy pijani żołnierze w środku nocy próbują się wdrzeć do jej mieszkania. Aby uniknąć zacepek, Zaid nawiązuje romans z jednym z klientów. W 1974 roku rodzi im się córka. Dają jej na imię Senait, co znaczy powodzenia albo pokój.

Z domu w Dekemhare Senait najlepiej pamięta ogród. Rosną w nim winogrona, które tworzą zielony dach chroniący przed słońcem. Zaid i Senait mają z właścicielem niepisaną umowę – nie zrywają owoców, ale on

**Trzymaj się z dala, kochanie**

każdego wieczoru trochę im przynosi. Ojciec dziewczynki, Teweldemedhin, odwiedza je rzadko, bo ma własną rodzinę. Zaid wychowuje córkę z pomocą sąsiadek. Wkrótce zresztą poznaje nowego mężczyznę i rodzi mu syna. Chłopiec dostaje na imię Temesgen.

Właśnie w tym ogrodzie Senait po raz pierwszy widzi wojnę. Najpierw słyszy okrzyki po arabsku: *shabia, shabia!* ludzie, ludzie! Tak Etiopczycy nazywają partyzantów Afewerkiego. Potem jakiś młody szczupły chłopak z afro podważa zamek i otwiera bramę. Wpada do ogrodu i kuca w cieniu. *Shabia, shabia!* – głosy żołnierzy słychać coraz bliżej. Kiedy otaczają dom i stają pod bramą, chłopak podnosi broń i strzela sobie w głowę. Zaid zakrywa córce oczy, ale Senait zerka przez palce matki. Zapamięta krew na piasku.

W miarę jak Senait dorasta, Zaid coraz bardziej się o nią boi. Zdarza się, że etiopscy żołnierze uprowadzają nastoletnie dziewczyny. Jeśli mężczyzna pragnie kobiety, której rodzice nie chcą się zgodzić na małżeństwo, to zgodnie z obowiązującą w obu krajach tradycją może ją porwać. Zdarza się, że porywacz przez kilkanaście dni trzyma swoją ofiarę w zamknięciu i gwałci. Potem prosi o jej rękę. Jeśli rodzina kobiety zgodzi się na ślub, mężczyzna unika kary. Dlatego Zaid cieszy się, gdy Senait do domu odprowadza uprzejmy i cichy chłopiec mieszkający kilka przecznic dalej.

Mówią na niego Gereą, od Gebrekristos. Jest Tigrajczykiem, pochodzi z etiopskiego Adigrat położonego czterdzieści kilometrów na południe od dzisiejszej granicy etiopsko-erytrejskiej. Rodzice przysłali go tutaj do ciotki. Popołudniami Gereą sprzedaje ubrania w należącym do niej sklepiku, a rano chodzi do tej samej szkoły co Senait.

Lubi tę rzucającą ogniste spojrzenia smukłą dziewczynę z dwoma grubymi warkoczami. Może przyciąga ich do siebie poczucie osamotnienia, bo żadne z nich nie ma pełnej rodziny. Któregoś dnia pod domem wciśka jej do ręki małą karteczkę. Senait ją rozwija. „Kocham Cię” – czyta. „Ja Ciebie też” – odpisuje mu na jutrz. Ukrywają się jednak ze swoim uczuciem, bo na pozamałżeńskie związki młodych dziewcząt i chłopców patrzy się w Erytrei niechętnie.

W 1990 roku matka postanawia wysłać Senait do Asmary. Czeką tylko na zakończenie roku szkolnego. Boi się, że córka w końcu wpadnie w oko któremuś z żołnierzy. Napięcie w mieście rośnie. Senait, jak wiele dziewcząt w jej wieku, rozważa ucieczkę do rebeliantów. Otacza ich swego rodzaju kult, mówi się o nich wyłącznie jako o bohaterach. W końcu prawie każda rodzina ma syna lub córkę w partyzantce. Senait włącza radio i szuka prowadzonej przez nich stacji Dimtsi Hafash, Głos Ludu, która nadaje komunikaty wojenne, muzykę i wiadomości dla krewnych. Słychać trzask,

**Trzymaj się z dala, kochanie**



a potem syk ogniska. Młodzi żołnierze i żołnierki opowiadają o swojej miłości do Erytrei, tęsknocie za rodziną i ukochanymi. Przekonują, że już wkrótce kraj będzie wolny i szczęśliwy.

Żołnierze etiopscy regularnie przeprowadzają rewizje. Przetrzęsają ulicę po ulicy, dom pod domu, mieszkanie po mieszkaniu. Szukają rzeczy wskazujących na powiązania z rebeliantami – listów, zdjęć, broni. Podczas rewizji Zaid stoi w kącie i z ponurą miną patrzy, jak zaglądną pod łóżko, ściągają pościel, wywlekają z szaf, walizek bieliznę i ubrania, grzebią w puszkach z kawą, macają worki z shiro – startą na pył fasolą z przyprawami, z której robi się sos do indżery, tradycyjnego placka. Choć jest już przyzwyczajona, za każdym razem modli się w duchu, aby żołnierze okazali się nieśmiały mi chłopcami, którzy wstydzą się szperać w damskich rzeczach. Nie jest szalona, nie ma nic do ukrycia – ale kto wie, co może się wydać podejrzanę? Senait do niedawna podczas rewizji chowała się za kwiecistą spódnicą matki, ale teraz patrzy na wojskowych z każdym rokiem coraz śmielej, a oni czują, że zbliża się koniec ich władzy i stają się coraz bardziej nerwowi.

Wreszcie nadchodzi wakacje. Zaid nie pozwala Senait nawet odebrać świadectwa, od razu wsadza ją do autobusu i każe jechać do Asmary, do Trhas. Pierwsza córka Zaid zdążyła już wyjść za mąż. Ma własny dom, obiecała, że zaopiekuje się młodszą siostrą.

Maj 1991 roku. Mieszkańcy miasta przygotowują się na oblężenie. Gromadzą wodę i żywność. 21 maja Mengystu – rzeźnik Etiopii, „Czarny Stalin” – ucieka do Zimbabwe. Pięć dni później Erytrejczycy wkraczają do Asmary. Senait z rodziną barykadują się w domu i nasłuchują. Walki nie trwają długo. W pewnej chwili Trhas mówi:

– Chyba strzelają jakoś inaczej.

Senait wygląda na ulicę. Ludzie wychodzą z mieszkań i biegną na plac w centrum miasta. Stoją tam czołgi erytrejskich partyzantów. Senait biegnie z tłumem nieprzytomna ze szczęścia. Dociera do przyjaciółki, która mieszka obok placu. Nagle przez okno widzi Gereę. Woła go, ludzie podnoszą głowy, wreszcie i on spogląda w górę. Senait macha do niego i zbiega po schodach. Padają sobie w ramiona, płaczą.

– Co w Dekemhare? – pyta Senait. – Co z moją mamą?

– Przyjechaliśmy kilka dni temu, żeby przeczekać wojnę w Asmarze – mówi Gereę. – Nie wiem, co z Zaid. Uciekał każdy, kto mógł.

Trwająca od dziesięcioleci wojna niepodległościowa dobiegała końca. Schyłek rządów Mengystu przyszedł razem z upadkiem bloku wschodniego. ZSRR przestał dostarczać wozy bojowe, czołgi i inne uzbrojenie, którym armia etiopska równoważyła ofiarność partyzantki

**Trzymaj się z dala, kochanie**

erytrejskiej. W roku 1990 rebelianci opanowali większą część kraju. Armia dyktatora była pozbawiona ducha walki i wiele miejscowości oddawała bez oporu. Pozostało postawienie kropki nad i, czyli zdobycie stolicy. 24 maja 1991 roku została przejęta niemal bez walki i powstał rząd tymczasowy, na którego czele stanął Isajjas Afewerki. Po wojnie gospodarka Erytrei była zniszczona, wiele miast zburzono, z portu Massawa zostały zgłiszczona. W 1994 roku wybuchły rozruchy. Rządzący uświadomili sobie, że bezrobotni obywatele mogą być groźni. Pracy dla nich nie brakowało. W całym kraju pełno było wraków ciężarówek, czołgów i pojazdów opancerzonych leżących przy drogach, tkwiących w rozpadlinach skalnych z zardzewiałymi lufami wycelowanymi w niebo. Trzeba było to wszystko uprzętnąć i załatać szosy. Ale nie było czym zapłacić.

Utworzono National Service – powszechną służbę narodową, która miała się zająć zarządzaniem krajem, jego obroną i odbudową. Miała też stanowić narzędzie kontroli. Trafiali do niej niemal wszyscy obywatele bez względu na płeć czy wykształcenie. Część z nich kierowano do służby wojskowej – do koszar lub na granicę – a część do pracy w instytucjach publicznych: na poczcie, w policji, w przedsiębiorstwach państwowych. Ograniczono własność prywatną i utworzono obozy wojskowo-karne, które miały się zająć wychowaniem młodych obywateli.

Początkowo do National Service na osiemnaście miesięcy powoływano mężczyzn od osiemnastego do czterdziestego roku życia i kobiety, które nie skończyły jeszcze dwudziestu siedmiu lat, ale te limity szybko przestały obowiązywać. Wkrótce do służb wcielono bezterminowo niemal cały naród.

W National Service zawsze zarabiano się mało, obecnie to średnio sześćset nakf, czyli około czterdziestu dolarów miesięcznie. Dlatego ci, którzy nie służyli w regularnej armii, pracowali na dwa etaty. Do południa dla państwa, wieczorami prywatnie. Skoszarowani żołnierze nie mieli takiej możliwości. Służba wojskowa trwała latami, więc kobiety żyły bez mężów, a dzieci dorastały bez ojców. Tysiące mężczyzn i kobiet uciekało z wojska lub National Service. System był nieszczelny, można było długo się ukrywać. Dezerterzy dużo jednak ryzykowali, kary były drakońskie. Za pierwszą ucieczkę groziło kilka miesięcy więzienia, za każdą kolejną dwa razy więcej. Niektórzy z więzienia – baraków na pustyni, metalowych kontenerów do transportu morskiego, bez dostępu do lekarzy i lekarstw – nigdy już nie wyszli. Umarli.

Senait wraca do Dekemhare. Miasteczko ucierpiało podczas walk, ale położona nieco na uboczu dzielnica, w której dziewczyna mieszka z matką, nie została zniszczona. Kiedy kończy dwadzieścia lat, chce się zgłosić do National Service. Powstrzymuje ją list

**Trzymaj się z dala, kochanie**

od przyjaciółki z Sawa, która pisze, że bardzo trudno tam przetrwać. Muszą ciężko pracować od świtu do zmroku, są karani za najmniejszą niesubordynację, brakuje jedzenia i środków czystości. Senait mogłaby uniknąć służby, wychodząc za mąż lub rodząc dziecko, ale jeszcze nie jest na to gotowa.

Rok 1995. Jedna z przyjaciółek Senait mówi, że jej kuzyn Shambel może im pomóc przedostać się do Saudi, Arabii Saudyjskiej. Spotykają się z nim.

– Byłem tam wiele razy – zapewnia. – Znam drogę i mogę was zabrać. Musicie tylko zdobyć pieniądze. Sześćset dolarów. Ruszamy za kilka dni.

Senait boi się, że matka jej nie puści, ale wie, gdzie trzyma oszczędności na czarną godzinę. Zabiera wszystko – jakieś trzysta dolarów w etiopskich birrach. Potrzebne jej drugie tyle. O świcie idzie do Gerei. To najbliższa osoba, jaką ma w Dekemhare poza rodziną; bezgranicznie mu ufa. Stuka do drzwi sklepu. Gereea otwiera zaspany.

– Muszę jechać do Saudi!

W pierwszej chwili chłopak myśli, że przyjaciółka żartuje, ale ona powtarza, że musi jechać i prosi, aby pożyczył jej pieniądze. Gereea czuje ukłucie w sercu. Czemu nic mu wcześniej nie powiedziała? Boi się o nią.

– Wyszło nagle, ale wszystko jest pewne. Będziemy na miejscu za dwa dni – uspokaja go Senait. – Może trzy. Jeśli nie dasz mi pieniędzy i tak pojedę – dodaje.

Gerea wychodzi na zaplecze i wraca z gotówką.

Nazajutrz o szóstej rano Senait wychodzi z domu z małym plecakiem, w którym schowała trochę ubrań, mąkę, herbatniki i wodę.

– Powiedz mamie, że wyjeżdżam do Saudi. Wzięłam pieniądze. Nie miałeś z tym nic wspólnego – mówi młodszemu bratu.

Brat zaczyna płakać, ale dziewczyna nie ogląda się za siebie.

Wsiada w autobus do Asmary. Stamtąd w siódmkę – ona, koleżanka, Shambel i piątka obcych Etiopczyków – jadą do oddalonej o ponad sto kilometrów Massawy. Zjeżdżają z gór krętą drogą, zbudowaną jeszcze przez Włochów. Jest gorąco, im niżej, tym bardziej. Zmieniają się ludzie, zmienia się krajobraz. Kiedy docierają na miejsce, Shambel umieszcza ich w hotelu, ale nie pozwala im z niego wychodzić.

Upał sący się w ciemności. Senait nie może zasnąć. Patrzy przez okna na miasto zniszczone długim oblężeniem. Tęskni za matką, boi się nachodzącej przeprawy. Próbuje odegnąć złe myśli.

Jadą do małej wioski na południe od Massawy. Czeka ją na łądz. Jest ponad czterdzieści stopni, ulgę daje jedynie skąpy cień pod krzewami. Senait boi się mieszkających w tej okolicy Afarów, wędrownych pasterzy; mówi się, że łatwo sięgają po broń. Aby ich nie drażnić, nie biorą wody z ich studni.

**Trzymaj się z dala, kochanie**

Na stateczek ładuje się prawie dwieście osób. Najgorzej jest pod pokładem, głowa przy głowie. Z ludzi leje się pot, nie ma czym oddychać, ale nikt się nie skarży. Po chwili łódź drga i wolno odbija od brzegu. Senait płynie na pokładzie. Po raz pierwszy w życiu jest na morzu. Patrzy na nie z przerażeniem pomieszany z euforią. Załoga jest trzyosobowa – właściciel stateczku i jego dwóch synów. Po jakimś czasie Senait domyśla się, że nie mają kompasu ani map i nawigują na wyczucie. Może orientują się po wyspach widocznych w oddali, może po skałach wystających z wody.

Po kilku godzinach, gdy są już daleko od brzegu, ludzie pod pokładem zaczynają krzyczeć, że dno przecieka. Kapitan rzuca im naczynia do wybierania wody, ale zbyt szybko jej przybywa. Po następnej godzinie staje się jasne, że nie mogą płynąć dalej. Przybijają do jednej z wysp archipelagu Dahlak. Kapitan każe im skakać za burtę.

– Muszę wrócić, żeby załatać dziurę. Inaczej utoniemy.

Posłusznie schodzą do morza. Jest głęboko, woda sięga im prawie po szyję. Idą do brzegu. Senait trzyma plecak nad głową, aby nie zamoczyć rzeczy. Dno przy brzegu usłane jest ostrymi kamieniami. Dziewczyna idzie po nich, sycząc z bólu. Siadają na wilgotnej plaży i czekają. Mijają godziny, łódź nie wraca. Niektórzy

zaczynają płakać. „Wszyscy umrzemy”, mówią inni. Zdarzało się, że przemytnicy zostawiali ludzi na pastwę morza. Wreszcie Senait dostrzega stateczek. Czuje ogromną ulgę. Wdrapują się na pokład i ruszają dalej.

Po kilku godzinach dno ponownie zaczyna przeciekać. Kapitan wysadza ich na kolejnej wyspie i znów po paru godzinach wraca.

– Wielu z was musi mieć jakiś grzech – mówi – ale z pewnością są wśród was dobrzy ludzie i właśnie po nich wróciłem. Ale jeśli łódź zacznie przeciekać po raz trzeci, już nie wrócę. Bo to będzie znaczyło, że Bóg nie chce, żebyście dopłynęli do Saudi.

Domyślają się, że kapitan zaczyna być stratny. A jeśli za trzecim razem rzeczywiście nie wróci? Po zmroku Senait wtula się w burtę i zaczyna szlochać. Młody Etiopczyk, jeden z tych, z którymi wyruszyła z Asmary, pyta, dlaczego płacze.

– Boję się. Nie wiedziałam, że Shambel jest przemytnikiem i że będzie tak ciężko.

– Nie ufaj mu – ostrzega chłopak. – I nie mów, że masz do niego żal.

Wreszcie w słabym świetle księżycy z ciemności wyłania się brzeg Jemenu.

– Jak dobijemy – mówi Shambel – trzymajcie się mnie. Musimy jak najszybciej oddalić się od morza.

Senait myśli, że chodzi o policję albo wojsko jemeńskie, ale towarzysze podróży wyprowadzają ją z błędu.

**Trzymaj się z dala, kochanie**



– Bandyci. Jeżeli jesteś mężczyzną, zabierają ci pieniądze, jeśli kobietą, idziesz z nimi.

Senait wie, co to oznacza. Nie chce płakać, ale łzy same lecą jej z oczu.

– Nie martwcie się – uspokaja ich Shambel. – Nie pozwolę was skrzywdzić. Jeśli nas złapią, zabiję ich, tylko będziecie musieli mi pomóc. Trzymajcie się mnie.

„Jak to zabiję? Jak to pomóc?” – myśli Senait. Boi się, jej oddech przyspiesza. Fale uderzają o plażę.

Schodzą na ląd i od razu zaczynają biec. Senait pędzi za światłem latarki Shambela. Po chwili zatrzymują się i przykucają w ciemnościach. Jest cicho.

Potem słyszą warkot silników i ludzkie głosy. Plażę, przy której jeszcze parę minut temu kołysała się ich łódź, oświetlają reflektory kilku samochodów. Bandyci rozchodzą się po okolicy i przeczesują brzeg. Jeden podchodzi tak blisko, że Senait boi się, że na nią nadeptnie. Słyszy jego oddech i miotane po arabsku przekleństwa:

– Niech Bóg ich zabierze tam, gdzie umrą.

Jeszcze długo kryją się w ciemnościach. Dwie osoby gdzieś się zawieruszyły.

– Może dołączyli do innej grupy – uspokaja Shambel.

Przed świtem przyjeżdża następny samochód. Tym razem ten, na który czekają. Jemeński przemytnik wiezie ich do wsi niedaleko Sany.

Następnego dnia docierają do granicy z Arabią Saudyjską.

– Musimy jak najszybciej dostać się do wioski po drugiej stronie. Musimy biec – mówi Shambel. – Saudyjskie wojsko ma psy. W razie czego rzucajcie im butelki z wodą – radzi, ale Senait wątpi, czy psy zaspokoją się butelkami.

Docierają do wsi i przeskakują przez ogrodzenie przy najbliższym domu. Senait słyszy szczekanie psów i syreny policyjnych samochodów. Chowają się w ogrodzie. Po chwili dźwięki za murem cichną. Powoli wstaje słońce. Jest cicho i spokojnie. Zасыpia.

W południe znajdują ich robotnicy, którzy przyszli do pracy. Potem pojawia się właściciel ogrodu.

– O, Boże, następni – mówi, załamując ręce, ale nie zawiadamia policji.

Senait zostaje w Arabii Saudyjskiej na prawie dwa lata. Na odchodnym Shambel mówi, żeby nikomu tutaj nie ufali. Nawet swoim, Erytrejczykom z Dekemhare. Senait opiekuje się dziećmi bogatej saudyjskiej rodziny. Zarabia dobrze, ma własny pokój, ale nie lubi tego kraju. Czuje się w nim obco. Imigranci zarobkowi są tu traktowani jak ludzie drugiej kategorii. Mężczyźni w rodzinie, u której pracuje, śpią do późnego popołudnia, a nocami przesiadują przy głośnej muzyce. Wieczorami Senait barykaduje drzwi, bo dobija się do niej jej pracodawca.

– Otwórz, to ja.

Mężczyzna puka, naciska na klamkę. Senait udaje, że śpi. I tak co noc.

**Trzymaj się z dala, kochanie**

– Dlaczego płaczesz? – pyta któregoś razu jego żona. Senait mówi, że nie może spać. U nich w domu wszyscy śpią razem, boi się spać sama.

– Czy jedna z waszych córek mogłaby spać ze mną w pokoju? – pyta.

Od tamtej pory śpią we dwie. Pracodawca już się nie dobija.

Mniej więcej po roku od przyjazdu do Saudi Senait zaczyna boleć ręka. Ból promieniuje od ramienia, ale tylko z jednej strony. Początkowo myśli, że to zmęczenie, ale któregoś ranka wyczuwa pod pachą niewielki guzek. Boi się, że to nowotwór, że umrze. Przeraża ją myśl, że mogłaby zostać pochowana w obcej ziemi. Postanawia wrócić do kraju. W ambasadzie Erytrei płaci obowiązkowy podatek, czy raczej haracz za czas pracy w Arabii Saudyjskiej, i dostaje paszport. Ci, którzy tego nie robią, prosto z lotniska są zabierani do National Service.

W 1997 roku Senait wraca do Erytrei. Jedzie do mamy do Dekemhare, odwiedza Gereę. Chłopak wciąż pracuje w sklepiku ciotki. Powodzi mu się lepiej, asortyment ubrań jest teraz większy.

Z Gereą czuje się dobrze i bezpiecznie. Przed wyjazdem nie była gotowa na małżeństwo. Najważniejsza jest dla niej matka, to przecież dla niej ryzykowała podróż do Saudi. Przez lata ciężkiej pracy, okupacji etiopskiej i oblężenia Dekemhare matka podupadła na zdrowiu.

Musiała jednak pracować na całą rodzinę, bo Senait nie miała zajęcia. Wyjazd do Saudi miał matce ulżyć. Gdyby wtedy Gereea poprosił ją o rękę, odmówiłaby, ale teraz myśli o tym, aby zacząć nowe życie. Nie padają żadne oficjalne deklaracje, ale oboje zastanawiają się już, co mogliby zrobić, gdyby któraś z rodzin nie chciała wyrazić zgody na ich małżeństwo.

Senait spędza kilka miesięcy u Trhas w Asmarze. Próbuje się leczyć. Jedzie z matką do Debre Merqorewos, słynącego z cudów klasztoru, gdzie modlą się i piją uzdrawiającą wodę. Ból jakby ustępuje, ale guzek wciąż jest wyczuwalny.

Dziewczyna postanawia odwiedzić znachora, który przyjmuje w rodzinnych stronach Zaid. Do uzdrowiciela wiezie ją wujek Haftu. Znachor szczerze mówi, że nie wie, czy to nowotwór, ale przykłada do guza lecznicze rośliny. Terapia ma potrwać kilka tygodni. Senait najpierw czuje lekkie ukłucia, jakby igielki, a potem pieczenie, z każdą godziną mocniejsze. Wkrótce wydaje się jej, jakby ktoś przypalał ją żywym ogniem. Znachor uspokaja, że cierpienie wypali z niej chorobę. Którejś nocy Senait płacze jednak tak głośno, że zniecierpliwiony uzdrowiciel przynosi jej wywar uśmierzający ból. Po kilku dniach w miejscu guza nie ma już skóry. Po kilku kolejnych pojawia się rana, z której sączą się krew i ropa. Znachor co trzy dni zmienia liście i przemywa ranę. Wreszcie po trzech tygodniach przyjeżdżają Zaid

**Trzymaj się z dala, kochanie**

i Trhas. Następnego dnia Senait mdleje. Przerażone kobiety zabierają ją do szpitala. Okazuje się, że w ranę wdało się zakażenie. Po znachorze zostanie ślad w postaci odbarwionej skóry.

Mija siedem lat od czasu, kiedy w obu krajach władzę zdobyły siły zdominowane przez Tigrajczyków. Wydawało się wówczas, że nic nie stało na drodze do pokojowej koegzystencji. Jednak to złudzenie nie trwało długo. Pretekstem do wybuchu wojny stało się miasteczko Badme, niewielki skrawek nieużytków przy granicy. Potyczka między wojskiem erytrejskim a służbami etiopskimi dała początek konfliktowi, który pochłonął prawie sto tysięcy ofiar i doprowadził do masowych przesiedleń. Tylko w czerwcu 1998 roku wyrzucono z Erytrei czterdzieści jeden tysięcy, a z Etiopii dwadzieścia tysięcy osób.

W czerwcu 1998 roku po Asmarze rozchodzi się wieść, że Etiopczycy muszą opuścić kraj. Do wywózki przeznaczono także Gereę. Senait jedzie do Dekemhare. W tłumie ludzi czekających z walizkami na placu targowym widzi znajome twarze, ale Gerei już nie spotyka. Mijają miesiące i nie ma od niego żadnych wiadomości. Jak kamień w wodę. Senait nie chce już jeździć do Dekemhare, bo wszystko tam przypomina jej utraconego przyjaciela. Mieszka w Asmarze u Trhas. Tylko tu czuje się bezpiecznie.

Żołnierze czasem kontrolują ludzi na ulicach. Wie, że jeśli ją złapią, trafi do National Service. Niedawno przed ich domem zatrzymał się samochód wojskowy. Przyszli po sąsiada. Był w National Service, ale co jakiś czas nie wracał z przepustek, aby dorobić i podreperować rodzinny budżet. Kilka razy Senait musi uciekać. Ma szczęście, zawsze trafia na Tigrajczyków.

– Zmykaj, dziewczyno – mówią. – Nie będę patrzył. Ale na przyszłość noś ze sobą dokumenty!

2001 rok. W Asmarze właśnie oddano do użytku pięciogwiazdkowy hotel. W Saudi Senait nauczyła się arabskiego i angielskiego – dzięki temu dostaje pracę jako kelnerka. Często musi zostawać w hotelu do późna, ale zarabia dobrze. W pracy poznaje zagranicznego biznesmena, który prowadzi interesy w Erytrei. Jest czuły i opiekuńczy. Mieszka w Polsce. Senait nie wie nawet, gdzie to jest. Zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia. Wkrótce biorą ślub. Do kościoła w Dekemhare wiezie ich polski konsul honorowy. Po uroczystości Zaid stawia na szafce zdjęcie z parą młodą w tradycyjnych erytrejskich strojach.

Senait wyjeżdża z mężem do Polski. Znajduje tu swoje miejsce. Zakłada fundację Adulis działającą na rzecz Afryki Wschodniej, jest trenerem międzykulturowym i tłumaczką z tigrinia. Rodzi dwoje dzieci. Po kilku latach ktoś daje jej numer telefonu do Gerei. Dzwoni, słyszy w słuchawce jego głos. Pyta, czy jest

**Trzymaj się z dala, kochanie**

szczęśliwy. Gereą mówi, że w Etiopii zaczął wszystko od początku. Przyjaciele pożyczyli mu trochę pieniędzy, aby założył niewielki biznes – hotel z restauracją. Ma żonę i dzieci, ale to bardziej małżeństwo z rozsądku.